

## MAREK TISCHENR

ur. 1964; Kraków



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin ; Kraków ; Etiopia ; Łopuszna ; Stary Sącz ; Radawiec ; ulica Łopacińskiego ; ulica Rynek ; Aleje Racławickie ; Stare Miasto ; Miasteczko Akademickie UMCS ; historia rodzinna ; manifestacje studenckie w Krakowie ; Agencja Fotograficzna "Terra" ; fotografia ; aparaty fotograficzne ; aparat Smiena ; aparat Kodak ; fotoreporter ; fotografia dokumentalna ; fotografie opowiadane ; KUL ; Katolicki Uniwersytet Lubelski ; NZS ; Niezależne Zrzeszenie Studentów ; samorząd studencki ; BIS ; Biuletyn Informacyjny Studentów KUL ; Akademia Rolnicza w Lublinie ; studia weterynaryjne ; studia ; praktyki studenckie ; wyjazdy zagraniczne ; życie studenckie ; Hotel Unia ; czas wolny ; Chatka Żaka ; wybory 4 czerwca 1989 roku ; kampania wyborcza ; dokumentacja kampanii wyborczej ; Komitet Obywatelski "Solidarność" ; KPN ; Konfederacja Polski Niepodległej ; Kullages ; sittingi przed KUL-em ; sytuacja polityczna ; transformacja ustrojowa ; Bronikowska, Magdalena ; Chmielowiec, Maciej ; Hartman, Jan (1967- ) ; Jan Paweł II (1920-2005) ; Jakubowski, Grzegorz ; Jaśkiewicz, Przemysław (1965- ) ; Łęski, Jacek (1965- ) ; Łupina, Zygmunt (1929-2017) ; Kłoczowski, Jerzy (1924-2017) ; Omieczynski, Przemysław ; Maczek, Stanisław (1892-1994) ; Mańka, Tadeusz (1944-2010) ; Matejczuk, Marek ; Mielnicki, Roland ; Prost, Edmund (1921-2008) ; Sadowski, Jacek ; Semka, Piotr ; Tischner, Barbara ; Tischner, Józef (1931-2000) ; Tischner, Łukasz (1968- ) ; Tischner, Marian

### 1. Początek studiów i znajomość z profesorem Andrzejem Waksmundzkim

W tej chwili w Krakowie [jest kierunek] weterynaryjny. I [dziś] wydawałoby się nielogiczne, że pojechałem studiować do Lublina, ale w tamtych czasach, czyli w latach osiemdziesiątych, [w Krakowie] nie było weterynarii. [W Polsce funkcjonowały] tylko cztery wydziały weterynaryjne. [Czyli] w Lublinie, [we] Wrocławiu [te dwa ośrodki stanowiły] pochodne szkoły lwowskiej, [ponieważ] profesorowie ze Lwowa po wojnie znaleźli się w [oby tych miastach], w Warszawie i Olsztynie. [Te ostatnie znajdowały się] bardzo daleko, więc w ogóle nie wchodziły w rachubę. [Z kolei] Warszawa i Wrocław jakoś średnio mnie, powiedzmy, cieszyły. To nie [był] mój kierunek.

A Lublin już miałem przetarty przez rodziców, bo i mama, i tato [tam] studiowali. Więc

ja już wiedziałem, jak [on] wygląda, już miałem o nim jakieś wyobrażenie. [Rodzice] opowiadali [mi] tak, jak się opowiada o czasach studenckich [jako o] bardzo sympatycznym, miłym [okresie życia], i w ogóle [przedstawiali Lublin] w samych superlatywach. Więc to poszło naturalnym torem –[skoro] oni tam byli, [to dla mnie] już jest wszystko znajome.

Tym bardziej [że] (to też może warto dodać) pan profesor Andrzej Waksmundzki, zupełnie fantastyczny chemik, który miał katedrę chemii na UMCS-ie, mocno się zajmował młodzieżą z południa Polski, ponieważ pochodził z Podhala. Więc to każdemu ułatwiało trochę zadanie. Tym bardziej że profesor Waksmundzki znał się z moimi dziadkami, bo mieszkali wieś przy wsi. Gdzieś się spotykali na jakimś brydżu czy [gdzieś. Krążą o tym] różne opowieści. W związku z tym to też było pewnego rodzaju ułatwienie. Jego córką [jest] Monika Hajnos (z domu Waksmundzka), żona Mieczysława Hajnosa, chemika [pracującego] na UMCS-ie. [To są] bardzo znakomici profesorowie, bardzo światłe umysły. To taka podhalańska krew.

[Ponadto] właśnie profesor Waksmundzki znalazł mi stancję, gdzie mogłem zamieszkać zamiast w nieszczęsnym akademiku na Felinie, gdzie cierpiełem [męki. Te] akademiki to [było] budownictwo [prawdopodobnie] lat siedemdziesiątych. To musiało [stanowić] chyba [pozostałość] po robotnikach, bo było jakąś przedziwną konstrukcją. Ja mieszkałem [w pokoju] z kolegą ze Szczecina. On był [nieco] dziwny. To mnie dosyć mocno zrażało. Ja jestem dosyć lojalnym człowiekiem i jak już z kimś się znam, to [mu] pomagam. [W związku z tym] wziąłem go ze sobą na stancję. I [popełniłem] trochę błąd, bo to była dziwna osobowość. Herbatę robił sobie prawie jak w więzieniu, czyli gotowanie wody [przy użyciu] żyletki. Jak w tej chwili przypominam sobie [tamte czasy], to aż się dziwię, że nie wiedziałem jakichś takich szczegółów. Ale był bardzo sympatyczny, bardzo uczciwy; w stosunku do mnie [zachowywał się] bez zarzutów. On musiał mieć jakąś taką przeszłość, powiedziałbym, mniej interesującą. To były pierwsze miesiące moich studiów.

## **2. Nie dość, że jestem podobny do ojca, to jeszcze wybrałem podobną ścieżkę**

Mój tato [studiował] weterynarię, a mama anglistykę. [Poznali się] w Lublinie. Nie do końca pamiętam, jak to [wyglądało]. Tam jakieś były prywatki [czy] coś. Moja żona z kolei jest po psychologii na KUL-u. Spotkaliśmy się na KUL-u w ramach studenckiej działalności NZS-owskiej. I później to tak poszło.

Kurczę, nie dość, że mocno jestem podobny do swojego ojca i nietrudno mnie [z nim] pomylić, to jeszcze dodatkowo [wybrałem] podobną ścieżkę, czyli weterynarię w Lublinie. W ogóle w [mojej] rodzinie [jest] gen, powiedziałbym, góralskiej gęby z dużym nosem i dosyć wyraźnymi góralskimi rysami. [Stosunkowo] mocno to widać.

Tato też w AZS-ie grał w siatkówkę. [I w tym przypadku] powtórzyłem jego kroki. (Inna sprawa, że ja już w liceum [grałem] w jakiejś drużynie siatkarskiej. Jak na tamte lata byłem dosyć wysoki. Widzę, [że] tej chwili młodzież mocno mnie przerasta, ale wtedy nie był powszechny [wzrost] metr dziewięćdziesiąt.) Tak że historia jakby się

powtórzyła.

I też pracuję na uczelni. Mam swoją małą praktykę prywatną, ale głównie [wykładam] na uczelni. To jest moja, pasja, moje życie. Czyli studenci, nauka. Mam trochę pracy prywatnej na zewnątrz, [lecz] z końmi. Więc tak się [wszystko] powtórzyło. Takie były kroki, które mnie zawiodły do Lublina.

### **3. Studia na weterynarii wybrałem sam z siebie**

[Jeżeli chodzi o weterynarię], to to nie było jakoś bardzo mocno zamierzone. Wybrałem [ją] sam z siebie. W domu cały czas były różne zwierzęta. Jeździłem z tatą do pracy, jeździłem konno, więc to wszystko [mnie] ukierunkowało. Powiedziałbym, [że] moi rodzice [byli] wręcz [temu] przeciwni. Mieszkaliśmy w Krakowie, więc oni chcieli, żebym studiował [na miejscu. Byłbym] blisko. Synus przy rodzicach, pod kontrolą. [Poza tym chcieli], żebym szedł na medycynę albo na prawo. Mnie medycyna kompletnie nie cieszyła ze względu na to, że widziałem, jak się to odbywa, że się idzie i się z tym człowiekiem [trzeba] spotkać. [I to] człowiekiem nie zawsze fajnym, miłym i sympatycznym, tylko takim, który krzyczy. Jakoś nie bardzo [mi się to podobało]. Prawo to w ogóle była dla mnie zupełna abstrakcja.

Powiedziałem sobie: „Sorry Winnetou, ale wyjeżdżam z Krakowa i jadę studiować” Wtedy oni jakoś zasugerowali, [że] w Lublinie jest profesor [Andrzej] Waksmundzki, to może [tam]. Opowiedzieli o tym [mieście], coś się dowiedziałem. I rzeczywiście wybrałem Lublin.

### **4. Dziadkowie byli nauczycielską rodziną**

Dziadkowie mieszkali w Łopusznej. [Byli] nauczycielską rodziną. Mój dziadek [pełnił funkcję] kierownika szkoły w Łopusznej i [pracował jako nauczyciel geografii [oraz] matematyki, a babcia [języka] polskiego. Ja dość mocno identyfikuję się z Łopuszną jako [z miejscem mojego] pochodzenia. Ta [wieś] leży mi głęboko w sercu. Potem [dziadkowie] przenieśli się do Starego Sącza, czyli w rodzinne strony dziadka. W Sączu wybudował dom. Na stare lata [się do niego przeprowadzili] i [tam] zmarli. Zresztą dziadek budował [go] dwadzieścia pięć lat.

### **5. Pasję fotograficzną mam po stryжку**

[Fotografować zacząłem] bardzo wcześnie. Fotografuję z kolei mam chyba po stryжку. Tak się porzochodziły geny w rodzinie. Stryjek był człowiekiem, który lubił sztukę, ale taką dosyć specyficzną, bo ludową. Jednocześnie pasjonowała go fotografia. Robił dość dużo zdjęć. Miał bardzo fajne aparaty fotograficzne, masę obiektywów, swoją ciemnię. Pamiętam, od małego [leżał] u nas w domu jakiś aparat. Tato nie [jest] pasjonatem fotografii. Natomiast stryjek, owszem. Zresztą te zdjęcia można jeszcze pooglądać. Robił ich dosyć dużo.

Stryjek miał własną ciemnię i swój gabinetek [w Starym Sączu, w domu dziadków]. W tej ciemni uczyłem się fotografii. To były lata siedemdziesiąte, miałem trzynaście,

czternaście, piętnaście lat. Zacząłem [fotografować] smieną, zorką, jakimiś [innymi] aparatami. Miałem możliwość pożyczania [ich] od stryjka. Ale [robiłem] to oczywiście z namaszczeniem. To nie było takie: „Daj mi”

Z tym że wtedy były ogromne kłopoty i z filmami, z wywoływaczami, z papierem, na którym się to robiło. To była oczywiście fotografia kompletnie analogowa i taka, że jedno zdjęcie [wyglądało] niepodobnie do drugiego. [Fotografie] z tej samej klatki nigdy nie wychodziły tak samo. Wystarczyło, że zmieniła się temperatura wywoływacza i już [powstawał] inny efekt. Ale to było pasjonujące.

## 6. Fotografia wydawała mi się trochę łatwiejsza

Zawsze miałem (i mam dalej) takie inklinacje, żeby stworzyć coś fajnego. Niestety, nie mam zdolności [tworzenia] sztuki, która wymaga talentu, słuchu i tak [dalej]. Proponowali mi, abym chodził na lekcje muzyki, zapisywano mnie do chóru. Ale ja [sądziłem, iż] wstyd, żeby chłop grał. Nie ma mowy. [Dziś] żałuję, że rodzice mnie nie zmusili.

Natomiast fotografia wydawała mi się trochę łatwiejsza. W tym sensie, że to, co mam w wyobraźni, swoje wrażenia, uczucia mogę przenieść w sposób technicznie dla mnie trochę prostszy. [Choć] muszę znaleźć kadr, nastawić [go] i zrobić zdjęcie, potem oczywiście [je] obrobić. Natomiast jak to wychodzi, tak wychodzi. *Jak Józek fciół, a jak mu wysło* –tak się mówi po góralsku. To znaczy: czasem się udaje coś zrobić, częściej nie. Nie jestem artystą. Mam za dużo innych różnych obowiązków. Bo to też jest nauka. [Przy tym również] trzeba posiedzieć. Pewnie, że są [ludzie] utalentowani jak [Wolfgang Amadeusz] Mozart, że sami z siebie [coś tworzą]. Niestety, Bozia dała mi wiele talentów, ale nie [jestem] jakimś [geniuszem]. I tyle.

## 7. Fotografowanie w czasie studiów

To fotografowanie się ciągnęło. Sporo [się tym zajmowałem] w liceum. Kolegom [robiłem zdjęcia] na wycieczkach. Ale to nie było aż tak intensywne, bo w Krakowie nie miałem ciemni. Nie miałem gdzie tego wywoływać, więc [fotografowałem] tylko na specjalne okazje. Czasami tato wpuszczał mnie do uczelnianej ciemni. [Wtedy] mogłem sobie coś tam [porobić]. Ale to było raz na rok, bardzo rzadko. [To się zmieniło] na studiach, [kiedy] stworzyliśmy NZS-owską paczkę (nie na pierwszym roku). Dopiero wtedy dostałem dostęp do ciemni. Myśmy sobie tą ciemnię zorganizowali na KUL-u, w podziemiach. Były [tam] i wywoływacze, filmy.

Oczywiście aparat musiałem sobie kupić sam. Wyjeżdżałem na zagraniczne praktyki. Właściwie co roku byłem na jakieś praktyce. A to we Włoszech, a to w Austrii. Potem pojechałem do Etiopii. Najczęściej płacono mi jakieś grosze. I za te grosze kupiłem aparat gdzieś na Zachodzie. Tu w Polsce [sprzęt fotograficzny] był ciężko dostępny. Pierwszy [aparat, jaki kupiłem], to Zenit XP.

Potem [kupiłem] praktykę. Zakochałem [się] w [niej]. Wziąłem [ją nawet] do Etiopii. Okazało się, że jest fajna na europejskie warunki, ale tam przy lustrze, które się

podnosi, smar się roztopił. I [aparat] po prostu zdechł. Na szczęście w Addis Abebie były sklepy z używanymi aparatami. [W jednym z nich] kupiłem sobie canona. To już było takie ooo! że szkoda gadać. Teraz byśmy powiedzieli –wypasiony. Potem, jak wyjechałem do Szwecji w 1992 roku, wymieniłem go na wyższy model, już taki profesjonalny. Tak upgradowałem, czyli unowocześniałem, sobie sprzęt, dokupując obiektywy i tak dalej. Więc to tak się rozwijało.

Na studiach miałem [zatem] możliwość robienia zdjęć i [ich] wywoływania. [Jednak wykonywałem wówczas] dosyć mało prywatnych [fotografii]. To [stosunkowo] duży błąd. [Z tego powodu] pluję sobie teraz w brodę. Bo stryjka miałem na wyciągnięcie ręki, codziennie mogłem [go fotografować]. A mam [zaledwie] kilkanaście jego zdjęć. To samo z dziadkami. Praktycznie [rzecz] biorąc, nie mam ich [na fotografiach. Człowiek myśli:] są to są, co za problem. A jak na KUL przyjeżdżał jakiś specjalny gość, to [wykonywało się] tysiące zdjęć, a wystarczyłoby zrobić kilkanaście i poczekać na trochę lepszy moment. Byłem tak *podjarany* tym, że mogę podejść do [tego kogoś, sfotografować go], że to jest taka postać... Oczywiście [taka liczba] zdjęć [jest] trochę bezsensowna. Ale tak było.

W tej chwili trochę mi się zmienił stosunek, trochę inaczej fotografuję. Rzeczywiście, staram się co jakiś czas robić jakieś zdjęcia [prywatne]. Już mam trochę wyższą dojrzałość, to chyba jest właśnie [wynikiem] braku wykształcenia w [tej dziedzinie]. Jeżeli ktoś kształci się w danym kierunku, to wie, co jest istotne, a co może pominąć. Ja tego nie miałem. To była po prostu intuicja.

## 8. Początek działalności w NZS-ie

Nie pamiętam do końca, [jak zaczęła się moja działalność w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów]. To towarzystwo dosyć mocno się mieszało –i UMCS, i KUL. Z [Akademią] Medyczną mieliśmy trochę większe kłopoty. Po pierwsze dlatego że ona była stosunkowo daleko od nas. Po drugie –weterynaria z medycyną nigdy specjalnie mocno się nie lubiły w Lublinie. Medycy jakoś nigdy nie docierali na KUL. Nie znam [prawie] nikogo, kto [by tam przychodził]. Może jedną czy dwie osoby, ale to maksimum.

Tutaj natomiast miasteczko akademickie wręcz stymulowało do spotkań. [Organizowano] różne imprezy –Kullages, Bakcynalia, majówki jakieś inne imprezki. Łaziliśmy na wycieczki w swoim weterynaryjnym gronie. Zdaje się, [że] byłem tam trochę traktowany jak odludek. Bo to nie było tak, że ja [przebywałem] tylko w swoim towarzystwie. Wychodziłem [także] do [innych ludzi]. I mnie to cieszy. Ja lubię gadać z ludźmi, lubię ich spotykać. Wchodzę gdzieś, zagadam sobie [do kogoś]. Tak dla czystej przyjemności, żeby usłyszeć, co inny [człowiek] ma do powiedzenia. Chyba nauczyły mnie tego [moje] wyjazdy. Że nie pozna się drugiego człowieka [oraz] kultury, obserwując z boku. Trzeba w to wejść.

[Zatem] nie pamiętam, jak się wkręciłem [do NZS-u]. Na pewno zawsze mnie bolało, że jesteśmy w takiej, a nie innej sytuacji politycznej. I to wyniosłem z domu.

Pamiętam, [kiedy] byłem mały, to pytałem się mamy, dlaczego jesteśmy uzależnieni od tych Ruskich (wtedy to był Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich)? Czemu oni łążą nam tu po ulicach? Była Legnica, były pierwszomajowe [pochody] z czerwonymi flagami. Dla mnie to było zupełnie [niezrozumiałe]: jestem u siebie, a nie jestem u siebie. Kiedyś już widocznie musiałem dosyć mocno mamę zmęczyć, bo mi [powiedziała]: „Słuchaj, ich jest tylu, że nakryliby nas czapkami. I tak jesteśmy w niezłej sytuacji. Lepszej niż Czesi, Słowacy czy Węgrzy. Jest jak jest”

A te wcześniejsze wybuchy nadziei, czyli na przykład 1976 rok, niespecjalnie [pamiętam]. Wiem, że coś było. Mówiło się o tym w domu. Ale to też nie było takie ewidentne. Nas dzieci (bo ja mam jeszcze brata) raczej specjalnie nie włączono [w te kwestie]. Sądzę, [że] dla bezpieczeństwa. Zresztą w 1976 roku miałem dwanaście lat. To trochę słabawo, żeby takiemu chłopcu opowiadać, na czym polegają protesty na Wybrzeżu.

Potem zarejestrowaliśmy NZS AR [Niezależne Zrzeszenie Studentów Akademii Rolniczej –red.] z kolegami. To było przeżycie bo [musieliśmy pójść] do rektora. Wtedy tak się nie chodziło do rektora jak teraz. [Obecnie] student idzie korytarzem, [spotyka rektora], mówi mu dzień dobry i idzie dalej. [Dawniej, na przykład] jak [funkcję] rektora [pełnił] profesor [Edmund] Prost, [kiedy] przechodził, [to] my przypominaliśmy lamperię na ścianach. Byliśmy po prostu przerażeni, że jeszcze na nas [spojrzy] albo coś będzie chciał. Woleliśmy zniknąć mu z oczu. Więc to było to.

## 9. W Etiopii byłem pół roku

W Etiopii miałem [przebywać] dwa tygodnie. [Na to]Tak mi pozwalały wakacje. Pięć tysięcy kilometrów [podróży]. 1988 rok. [Panował tam] wtedy stan wojenny. Szefem był Hajle Marjam Mengystu. Podobno udusił poduszką swojego poprzednika Hajle Syllasje (był w Polsce jakiś czas wcześniej). W ogóle Etiopia jest niezwykłym miejscem.

Ale dlaczego o tym opowiadam? Dlatego że kiedy przyjechałem [do Etiopii, przebywali tam członkowie] International Livestock Centre for Africa, czyli międzynarodowej organizacji wspomagającej Afrykę. Tam byli lekarze weterynarii, zootechnicy. Tam była masa osób, która starała się wspomóc w jakiś sposób etiopskie rolnictwo. Chociaż, jak teraz patrzę z perspektywy czasu, [to] nie wiem, czy oni wspomagali rolnictwo, czy po prostu robili [tam] jakąś robotę. Z tym że rzeczywiście robili dużo.

Lot do Etiopii to [długa] historia. Najpierw musiałem pojechać do Warszawy [i tam przenocować]. Z Warszawy [poleciałem] samolotem chyba do Lipska, czyli do Niemiec Wschodnich. Dopiero z Lipska Lufthansą wio –do Addis Abeby. Przyleciałem do Etiopii. Okazało się, że jestem sam na lotnisku, nikt o mnie nie pamiętał. Dotarcie do centrum nie było [więc] takie proste. [W tamtych] czasach się nie telefonowało, tylko się wysyłało listy. W 1988 roku w Polsce właściwie mało kto wiedział, co to jest komputer. Tam w centrum już [one] były. Ale nie [istniała] łatwa wymiana wiadomości.

W każdym razie przyjechałem tam. [W Etiopii] nie [przebywał] ani jeden Polak. To towarzystwo było bardzo mieszane. Głównie byli to Włosi, Francuzi, ale [także] jacyś Anglicy, Amerykanie. Włosi mnie zapytali: „No dobra, na ile tu przyjechałeś?” [Odparłem]: „[Na] dwa tygodnie” „Co? Pięć tysięcy kilometrów? Człowieku, czyś ty zgłupiał?” [Powiedziałem: „Ale ja mam wizę na miesiąc” „To zostań przynajmniej miesiąc. Ale, słuchaj, załatwimy ci [na] trochę dłuższy [czas]. Nie wygłupiaj się” Dałem się przekonać. Kurczę, rzeczywiście idiotyczna [sprawa]. Przyleciałem do Afryki, gdzie wtedy mało kto miał szansę pojechać. [Znalazłem się] w idealnym ośrodku naukowo-badawczym [wśród] wykształconych ludzi, od których mogłem się czegoś nauczyć, z którymi mogłem porozmawiać.

Miałem fantastyczny pojedynczy *tukul* (*tukul* to po etiopsku domek) z pięcioma służącymi. To znaczy ja [je tak] nazwałem, a tak naprawdę były to panie sprzątaczk, które do mnie przychodziły. Jak rzuciłem ubranie [albo] jak mi spadło na podłogę, to one [to] prały i wieczorkiem miałem wysuszone na słońcu. Bo [dla nich] to znaczyło, że jest do wyprania. W ogóle obsługa była nieprawdopodobna.

Były tam [dwie] stołówki, dla profesorów i dla robotników. Ja na początku nie wiedziałem [co i jak], więc chodziłem do tej profesorskiej. [Ale] trzeba było płacić jakieś duże pieniądze. Później się okazało, że jest ta dla robotników, [zatem] zacząłem chodzić [do tej stołówki]. Dla mnie to było ważne, bo chciałem zaoszczędzić pieniądze, chociażby na aparat fotograficzny.

Po tygodniu czy po dwóch tygodniach wzięli mnie do jakiegoś urzędu, biura czy do jakieś ambasady, żeby przedłużyć wizę. I [powiedzieli]: „W porządku, możemy przedłużyć. Na jak długo?” Na pół roku. I przedłużyli mi na pół roku. Więc powysyłałem listy do Polski [z pytaniami], czy ja mogę zostać? co zrobić? W Lublinie po tych dwóch tygodniach oczywiście studia już się zaczęły, a mnie nie [było]. Rodzice dzwonili do Lublina. Ja wysłałem listy, że mnie nie będzie i że proszę o dziekanę. Ale [musiałem ją] załatwiać z Etiopii. A Lublin pod tym względem [był] specyficzny, bardzo czuły w takich [kwestiach]. I Lublin strzelił focha. (Zresztą później z moim doktoratem było [podobnie].) „Co to znaczy? Dlaczego wcześniej nie powiedział? Co to w ogóle jest?” Ale sytuacja [wyglądała] tak, że ja po prostu nie mogłem wcześniej [załatwić tej dziekanki, ponieważ], byłem przekonany, [iż] jak zwykle jadę na krótką praktykę.

W każdym razie [w Etiopii] byłem pół roku. Objęło to] dwie pory –jedną deszczową, krótką, a drugą suchą. Przepiękne. W ogóle o tym można by było opowiadać godzinami. Wracalem 14 lutego, czyli w walentynki. Żeby było śmiesznie, ja w ogóle nie wiedziałem, że [istnieje] taka impreza świecie. [Dopiero] tam się dowiedziałem, że jest coś takiego. Bo ci zagraniczni [pytali mnie]: „Co ty, w walentynki [wracasz]? A co, masz tam jakąś narzeczoną?” Ja [odpowiadałem]: „Nie, no tak...” „To czemu 14 [lutego]?”

Ale czego mnie to nauczyło? [W ciągu pierwszych] dwóch tygodni widziałem, [że]

mam służące, siedzę sobie w [wyśmienitej] stołówce, mam do dyspozycji komputery, wożą mnie kilkadziesiąt kilometrów na miejsce badań. [Właściwie] Afrykę poznawałem zza szyby, nawet nie czując jej zapachów, nic nie wiedząc.

Jak się skończyły te dwa tygodnie i już wiedziałem, że [zostanę jeszcze] pół roku czy dłuższy czas, to wtedy zaczęła się zupełnie inna rozmowa. Bo ci ludzie, którzy tam pracowali, już wiedzieli, że mogą na mnie liczyć długofalowo, że nie pobędę [tam] dwóch tygodni i koniec, do domu. [Już byli pewni], że mogą ze mną prowadzić jakieś badania, mogą mnie gdzieś w [nie] wcisnąć. Wtedy to już wymagało trochę większej samodzielności i spotykania się z miejscowymi. To była [kiedyś] włoska kolonia, więc starsi Etiopczycy gadali po włosku. A ponieważ ja [również] mówię [w tym języku, to] jakoś się z nimi dogadywałem. Dopiero wtedy zaczęła się bajka.

Ja byłem wtedy młody, [miałem] dwadzieścia kilka lat. [Wtedy] zupełnie inaczej się odbiera świat. Jezu, te Etiopki, jakie to były piękne dziewczuchy. Jak z ikony. To są pociągłe twarze, piękne oczy –[tak] właśnie wyglądały te młode Etiopki. Zresztą Włosi mówili, że to jest *cioccolato coni estrogeni* –piękność wypełniona estrogenami. W ogóle Włosi szaleli. Było [tam] dość sporo Etiopek, które miały ładne zielonkawe czy niebieskie oczy. [Ogólnie rzecz] biorąc, [Etiopia] to tygiel narodów. Tam i Żydzi [pozostawili swój ślad]. Bo to jest to miejsce. I Włosi zostawili trochę swojej krwi. I oczywiście krew miejscowa. Kościół koptyjski [należy do] chrześcijaństwa. Zupełnie niesamowite.

Do tego stopnia się zakolegowałem z tymi ludźmi, że jak leciałem z powrotem do Polski, miałem znajomą stewardesę, Etiopkę właśnie. Poznałem ją na jakiejś imprezie, bo chodziliśmy na imprezy. Etiopczycy chcieli mnie zapraszać do swoich domów co normalnie się nie zdarzało z obcymi, szczególnie z białymi. Więc miałem chyba dobre układy z tymi ludźmi. To znaczy byłem ich ciekaw, ich historii, tego, co się [tam] dzieje.

#### **10. Nie różnimy się niczym od innych ludzi –to jest kwestia wpływów kulturowych**

[Wyjazd do Etiopii] nauczył mnie ciekawości. Teraz nie mamy czasu. Biegniemy, szalejemy, kompletnie wariujemy. To jest idiotyczne. Mnie się to nie do końca podoba. Ale taki jest [współczesny świat]. Że wszystko po łebkach, wszystko po wierzchu. Nie wchodzimy głębiej. A jak się porozmawia z człowiekiem, [to się zauważy], że jest masę osób, które się od nas różnią i to potężnie. Chociażby ci Żydzi, którzy teraz przyjechali [do] Leżajska. My, oglądając [to] z wierzchu, [widzimy] folklor: kapelusze, pejsy, chałaty, starzy chłopci, którzy tańczą jakiś dziwny [taniec]. I patrząc zupełnie powierzchownie], rzeczywiście, masę ludzi się ich po prostu przestraszy. Bo babcia czy prababcia naopowiadała im, że oni coś tam [robią] z krwią niemowlaków. Idiotyzm.

[Więc] jeżeli człowiek patrzy na to powierzchownie, to się tego boi. Skąd się biorą fobie? [Stąd], że człowiek [czegoś] nie zna. Jak się wejdzie [głębiej, to się] zobaczy, że to są normalni ludzie. [Kiedyś sfotografowałem] na [ulicy] Szerokiej ojca i syna



–[Żydów –red.] –jak się tłukli. Ojciec bił dorosłego syna, [ponieważ] ten próbował zrobić zdjęcie bramie cmentarnej. Próbował mu jakoś zasłonić czapką aparat. W końcu huknął [syna] w łeb i temu spadła czapka. Później [przeszli] kawaleczek, odeszli [jakieś] trzydzieści metrów. Ojciec wyprzedził [syna] o pięć metrów, to [ten] szybko się odwrócił i zrobił to zdjęcie. Facet, który miał pewnie z czterdzieści lat. Więc to w ogóle komedia. Przecież to jest dokładnie [takie] samo zachowanie [jak nasze].

[Istnieje] jeszcze jedna bariera –językowa. Miałem tak w Szwecji. Ze Szwedami nigdy nie wszedłem w żadne bliższe kontakty, mimo że nie [istniała] taka bariera, bo rozmawiałem z nimi po angielsku. [Przebywałem] tam tylko trzy miesiące. Nigdy nie udało mi się przekroczyć [granicy] prywatności. Tam było zamknięte, koniec, do widzenia. Z Włochami –[pyk]. Z Ukraińcami –pyk. Z Łemkami –pyk. Pokazałem [po prostu], że mnie interesuje, kim są, jak żyli. Zresztą nie pokazuję –mnie to interesuje. Wtedy widzimy, [że] tak naprawdę niczym się nie różnimy [od innych ludzi] –to jest tylko kwestia kultury, pewnych wpływów kulturowych. Wpływów regionu, w którym [żyjemy]. Trudno od Araba wymagać, żeby zachowywał się tak samo jak Polak, gdzie od godziny jedenastej do siedemnastej [codziennie] ma temperaturę pięćdziesięciu stopni. Kto jest w stanie wytrzymać [przy] takiej [pogodzie] i ciężko pracować. A my mamy tutaj dwadzieścia stopni, a w zimie jeszcze [mniej]. I jak nie [będę] popracować, to zamarznię –[w takiej temperaturze] praca nawet dobrze mi robi. Oczywiście, trochę przesadzam.

[Zatem] jak człowiek [spotyka innych ludzi], to się [ich] nie boi. Jak się nie [spotyka], to [powstają] takie [sytuacje] jak w tej chwili: precz z imigrantami, my mamy imigrantów Ukraińców –w porządku, mamy bezpiecznych imigrantów. Ja nie mówię, żebyśmy na siłę ściągali tutaj ludzi. Z drugiej strony w czasach studenckich wyjeżdżaliśmy za granicę i wszyscy byliśmy imigrantami. Nas też się bano. Bo [byliśmy dla innych] przecież dziczą. Moja żona w czasie studiów pojechała pracować do Belgii jako niania do dziecka u jakiejś rodziny szlachecko-hrabiowskiej, [która miała] trochę fiu-bździu [w głowie]. W osiemdziesiątym którymś roku. I oni pytali, czy my w Polsce mamy telefon i czy nie boimy się niedźwiedzi na ulicach. To nie [były] jakieś popisy [z ich strony]. Ci ludzie naprawdę [w to wierzyli].

Ta granica pomiędzy wschodem a zachodem była [wówczas] właściwie granicą mentalną. To tak jak w tej chwili pomyślelibyśmy sobie o wyjeździe do Chin: kurczę, ja wiem, może mnie tam zjedzą. Pewnie byśmy mieli lekkie obawy. I to jest ten strach, który gdzieś drzemie w człowieku, bo nie zna [danej kultury. Ponieważ] jak wchodzi do ciemnego pokoju, to nie wiem, czy nie wyrznię głową w jakąś rzecz. Dopiero jak zaświecę światło, to [widzę] normalny pokój. Myślę, że podobnie jest z poznawaniem ludzi.

Polskę tak naprawdę tworzy język. Inna sprawa, że mój język [ma] trochę dosyć [dużo] góralskich naleciałości, jak się nie pilnuję, to wtedy wychodzi. Natomiast różnorodność też jest [tym], co tworzy ten kraj. Kaszubi, Ślązacy, Łemkowie

[mieszkańcy] Rostocza. Ta śpiewna rostoczańska mowa po prostu natychmiast mnie rozczula. Syn mojej kuzynki ożenił się z Łemkinią i to taką z samego centrum Łemkowszczyzny. Ksenia. Rewelacyjna, fantastyczna dziewczucha. Fantastyczna rodzina. W zeszłym roku byliśmy na [ich] weselu. Bajka. Jejku, ja nie widziałem tak fantastycznych tańców, śpiewów, takiej radości. Coś nieprawdopodobnego. My to wszystko tracimy przez to, że robimy się zamknięci. My [musimy] się otworzyć. Ten, kto się boi, tak naprawdę znika. Jasne, odpowiednie środowiska powiedzą zaraz, [że] w Szwecji [oraz we] Francji [są] muzułmanie i [że] to teraz w ogóle jest muzułmański kraj. Sorry Winnetou, byłem w Paryżu wieża Eiffla jak stała, tak stoi. Katedra w Amiens jak była, tak jest. Francuzi jak gadali po francusku i nie chcieli [mówić] po angielsku, tak gadają po francusku. Nie przesadzajmy. To jest takie [myślenie], że jak my się nie rozmnażamy, to nas tutaj [wypchną], zaraz ktoś przyjdzie [i zajmie nasze miejsce]. Świat nie lubi pustki. Zaczniemy [więc] pracować [nad tym], żeby było nas trochę więcej. Wtedy tamci nie będą mieli miejsca, żeby tu wleźć i może w ten sposób zabezpieczymy [naszą] narodową dumę i stosunek do Polski. Człowiek przestaje się bać o własną tożsamość, jeżeli widzi, że ta tożsamość jest zbudowana z wielu klocków, a te klocki nie są czysto polskie. To, że jesteśmy tylko biali i gadamy tylko po polsku, jest wynikiem zaborów, a potem kolejnych jakichś perypetii wojenno-sowieckich (teraz [stało się] modne, żeby [mówić] sowieckich, nie rosyjskich). Nie mieliśmy [na to] napływu.

### **11. Zdjęcia są dla mnie przypominajką**

Z fotografią jest trochę tak, że ona [stanowi dla mnie], że tak powiem, historyczny kamień milowy. [Teraz], jakbym [miał odpowiedzieć na pytanie], co się stało, [dajmy na to], 27 kwietnia 1933 roku, [to musiałbym się przyznać, że] nie mam bladego pojęcia. Ale jak [zobaczę] zdjęcie, to [z pewnością będę] wiedział, co [się wydarzyło] tuż przed [zrobieniem tej fotografii]. Mało jest zdjęć, [na widok których] nie mógłbym sobie skojarzyć i przypomnieć okoliczności [ich powstania]. I to dwadzieścia, trzydzieści lat temu.

Zdjęcia są [dla mnie] przypominajką, notatką. Pewnie po prostu jestem wzrokowcem. Łatwiej jest mi zapamiętać taką chwilę. Czasem pamiętam nawet wrażenia, odczucia, jakie miałem wtedy, kiedy robiłem to zdjęcie. Czy [powód jego zrobienia]. Dlaczego mnie to zainteresowało, a nie coś innego. Tak też traktowałem tą fotografię.

### **12. Pierwsza pielgrzymka papieża –zapisalem się do kościelnych służb porządkowych**

[W 1978] wybrano papieża. W 1979 roku była pierwsza pielgrzymka papieska. [Jan Paweł II] przyjechał wtedy do Krakowa. Miałem już wtedy piętnaście lat, [chodziłem do] liceum. Wtedy, pamiętam, zapisałem się do kościelnych służb porządkowych. Mieliśmy pilnować [danego] sektora. Bo tę [przestrzeń] podzielono na sektory. Tak jak w Lublinie –tam też na zdjęciach [są widoczne] sektory [zagrodzone] drewnianymi

[konstrukcjami. Ludzie mieli] takie karteczki, połowa A4, na której było napisane, w którym sektorze mają miejsce. My mieliśmy pilnować, żeby [ci] mający [taki] bilety wchodzili [na swoje miejsca], żeby się nie przepychali, żeby to było w miarę bezpieczne. Mieliśmy jakieś oznakowania. Chusty czy coś –nie pamiętam, co to było. W każdym razie [działałem] w tych służbach. Było przypadkowe, w którym miejscu się znalazłem. Nie widziałem papieża na wyciągnięcie ręki, ale też nie [stałem] na samym końcu.

To [działo się] na Błoniach. Chyba [przez] dwa dni. [Zjawił się] ponad milion ludzi. Przyjechało masę rodziny i znajomych, którzy mieszkali u nas. A ja właściwie czterdzieści osiem godzin byłem na obrotach. Pamiętam, że po [tym czasie, po] tej służbie poszedłem spać i spałem dwadzieścia cztery godziny. Przeszedłem, wykapałem się i padłem do łóżka. Wiem, że przyszli goście i dopiero wieczorem mnie obudzili. Mimo, że zjedli obiad, [cały czas] gadali. [A ja leżałem] nieprzytomny. To było męczące i dosyć mocno stresujące.

Między nami chodzili esbecy. Mieli wtedy takie srebrne okrągłe wpinki. Nie wiem, co tam było napisane. Oni próbowali nas trochę przechytryć. Jeden z nich do mnie podszedł. Zareagowałem wtedy na tego esbeka mniej więcej tak samo jak Lucuś z „Ostatniego husarza”[Sławomira] Mrożka. Lubię to cytować. Lucuś się cieszył wielkim szacunkiem, bo chodził po ubikacjach i pisał jakieś wywrotowe hasła. I on był takim domowym bohaterem. [A ja] wtedy nie przepuściłem [tego esbeka] do sektora, do którego [faktycznie] nie miał prawa wejść. I byłem straszliwie z siebie dumny. To mi dało do myślenia: kurczę, jaką ja mam za sobą siłę w postaci tej całej organizacji kościelnej. Czy w ogóle. To nawet nie chodziło o kościelną. Tylko że ja [jako członek] tej służby porządkowej jestem w stanie zatrzymać takiego esbeka. To [było] ciekawe.

### **13. Biały marsz po zamachu na Jana Pawła II**

17 maja 1981 roku ([byłem wtedy w] liceum) [zorganizowano] biały marsz [po] zamachu na papieża [Jana Pawła II. Ponadto odbywały się wówczas] majówki, imprezy. Między innymi 3 maja [miały miejsce] takie imprezy, które kończyły się pałowaniami, dymem na rynku krakowskim. Chodziliśmy tam manifestować, ale niespecjalnie [pchaliśmy się] do przodu. To nie były przelewki. [Panował] stan wojenny. Wtedy rodzice starali się raczej trzymać dzieciaki [w domach]. A nasza szkoła [mieści się] dosyć niedaleko Rynku. Rynek i okolice (ulica Świętej Anny, Podwale) były tak mocno zadymione tym gazem łzawiącym, że my, idąc w piątek (wiem, że to było w piątek) na lekcje czy na SKS (czyli na WF), nie byliśmy w stanie dojść do szkoły. Po prostu płakaliśmy. Takie było stężenie dymu.

Wtedy odbyła [się] słynna akcja. Ludzie uciekali do Sukiennic do ubikacji, [ponieważ] ZOMO, które [miało siedzibę] po drugiej stronie rynku, robiło tak zwaną ścieżkę zdrowia. [Ustawili] szpaler. Między nim wpuszczali ludzi i wszystkich lali pałami. Te pałki, zdaje się, były dosyć mocne. Jak ktoś dostał w głowę, to mógł nawet zemdleć. Ja nigdy [nimi] nie dostałem, więc nie jestem w stanie powiedzieć. To była naprawdę

bardzo straszna sytuacja.

Dwóch kolegów z mojej licealnej klasy poszło z ciekawości do centrum. Szesnasto-, siedemnastolatki. I ze strachu [schowali się] do tej ubikacji. Zomowcy czy milicjanci wrzucili [do wewnątrz] gaz łzawiący. Ludzie by się podusili w tej ubikacji, więc zaczęli uciekać. A przy drzwiach stało ZOMO i pałowało. Na następny dzień, czyli w poniedziałek, ci koledzy wrócili i na WF-ie pokazali nam wszystkie kolory tęczy –takie siniaki. To było zupełnie nieprawdopodobne.

#### **14. Widziałem, jak mój tato chronił studentów**

To się nawarstwiało. Ja to obserwowałem. Zresztą moi rodzice [należeli do] Solidarności, na rynku miejscowym. Mama w liceum [numer] 5, tato na uczelni. Oprócz tego tato jeszcze przez pewien czas [pełnił funkcję] prorektora do spraw studenckich. Widziałem, jak chronił studentów. Bo studenci Akademii Rolniczej też brali udział w manifestacjach. Potem milicja ich wyłapywała. [Pojawiła się] informacja, że mają być relegowani z uczelni. Więc rektor musiał robić wszystko. [To była] wtedy strasznie niewdzięczna funkcja. Zresztą to samo [działo się] na UJ-ocie. Ten [ówczesny] skład rektorski to były postacie, które naprawdę bardzo mocno walczyły o tych ludzi. Nie potrafię tego opowiedzieć ze szczegółami. [Widziałem], jak tato wracał do domu. Był zawsze strasznie podenerwowany, cały czas rozmyślając, [jak] takie sprawy [załatwić]. To była jakaś współpraca pomiędzy rektorami. To było piękne. I ja w tym trochę wyrastałem. Czyli mamy dbać o ludzi, mamy [dbać (trochę to] górnolotne) o Polskę.

#### **15. Moja działalność w NZS-ie polegała na drukowaniu ulotek**

Jak poszedłem na studia, [to] stan wojenny się kończył. [Zniesiono go] w 1983 roku. Jeszcze po drodze [prawdopodobnie] w 1986 roku [wybuchł reaktor w] Czarnobylu. Jeszcze [wówczas] chyba nie [działałem] tak mocno w NZS-ie. Natomiast po Czarnobylu zaczęły się kolejne ruchy społeczne. My jako naród trochę odtajaliśmy po stanie wojennym. Furtki zaczęły się otwierać. Komuna trochę słabła. Ja [nie pamiętam] dokładnie [ówczesnej] sytuacji geopolitycznej. Nie interesowałem się tym tak [szczegółowo]. Ciekawiło mnie to, co [działo się] blisko.

I wyzwajające [było to], że powstawał NZS. [Najpierw założono go] w Warszawie, [potem] Krakowie i tak dalej. Przyszło to też do Lublina. [Pomyślałem], że jak jest Niezależne [Zrzeszenie] Studentów, to trzeba działać. I to działanie [polegało na tym], że spotykaliśmy się z kolegami z weterynarii. W [domu akademickim] Dodek, w pokoju numer dwanaście [mieliśmy] tajną kanciapę, gdzie we trzech czy czterech drukowaliśmy ulotki (to było zakazane). Nawoływania do jakichś wieców... Nawet w tej chwili nie pamiętam, co tam pisano. Pamiętam smród denaturatu na powielaczu.

To nie była taka wielka [działalność]. Nie [chciałbym] wyjść na jakiegoś [wielkiego] kombatanta. To nie był [Jacek] Kuroń [ani Adam] Michnik, ale rzeczywiście, myślę, że ziarnko do ziarnka... My wszyscy [sprawiliśmy], że w końcu to wszystko pękło. Gdyby

nie [istniała] dziesięciomilionowa Solidarność... I nie chodziło o dziesięć milionów działaczy, tylko o dziesięć milionów członków, którzy samą swoją obecnością dawali świadectwo temu, że jak zaczniecie fikać, to [oni] mogą się zmobilizować. Tym bardziej że wtedy komuna naprawdę słabła. To już był [jej] schyłkowy okres.

#### **16. Wyjazdy zagraniczne lat 80.**

W 1988 [roku] ja po drodze wyjeżdżałem na praktyki weterynaryjne. A to do Włoch, a to do Austrii, a to gdzieś tam. Rzeczywiście, trochę [dzięki] znajomościom. Stryjek wyjeżdżał za granicę, [więc] miał tam znajomych, którzy [mu] przysyłałi zaproszenia. To zaproszenie [stanowiło] przepustkę do zagranicznego wyjazdu. [W moim przypadku to były] wyjazdy profesjonalne. Jechałem, powiedzmy, do Austrii. Pracowałem w oborze przy jakiejś szkole rolniczej. We Włoszech [z kolei] pracowałem przy krowach. *Pezzata Rossa* –to jest taka rasa krów.

A jeszcze wcześniej, w liceum, mieliśmy fantastycznego historyka [oraz] bardzo dobrego organizatora. Nazywał się Marek Eminowicz, zmarł nie tak dawno temu. Organizował wyjazdy zagraniczne dla liceum [numer] 5. Szkoła [ta] wynajmowała autobus. Jechała większość uczniów [oraz] nauczyciele, czterdzieści kilka osób –tyle, ile się mieści w [takim pojeździe. Podróżowaliśmy po] Europie [właśnie tym] autobusem. Do Szkoci i z powrotem. Wycieczka ta trwała czterdzieści dni.

#### **17. Przeobrażenia polityczne 1989 roku –między Lublinem a Krakowem**

Byłem [wówczas] w Etiopii. 14 lutego 1989 [roku] wracałem do Polski. [Wróciłem chyba] 15 czy 16 [lutego]. Z tego, co pamiętam, [obradował] wtedy Okrągły Stół. Musiałem jeszcze wrócić do Lublina, żeby dokończyć studia. Bo mnie cofnięto o rok w związku z tym, że były takie warunki, a nie inne. Zresztą dobrze zrobiono. Widocznie tak miało być.

Powtórzyłem piąty rok. Nie musiałem chodzić na wszystkie zajęcia i miałem dość sporo czasu. Byłem trochę zawieszony pomiędzy Lublinem a Krakowem. Musiałem wtedy wynająć inną stację, bo tam, gdzie mieszkałem do tej pory, [przebywał] już ktoś inny. Normalna [kolej rzeczy. To była] zresztą bardzo wygodna, fajna stacja. W związku z tym nie byłem tak strasznie mocno związany z tym Lublinem, [ponieważ] na piątym i szóstym roku traktuje się te studia bardziej nonszalancko. W tym sensie, że mogłem w to włożyć trochę swojego rytmu. Oczywiście, [przygotowywałem się na] egzaminy. To w ogóle nie ma o czym gadać. To jest medycyna, nie można [jej traktować] po łebkach.

I dzięki temu, że tak traktowałem studia, mogłem i być w Lublinie, i przyjeżdżać do Krakowa. W Krakowie zaangażowałem się w miejscową kampanię wyborczą, [działałem] w Komitecie Wyborczym (nie pamiętam, w którym miejscu [się znajdował]). Tu pomogło trochę nazwisko. Bo mieli do nas zaufanie. [Było] wiadomo, że [należę do] rodziny, która nie próbuje się wkręcić, żeby coś wyniuchać, tylko [która potrafi] się w pełni zaangażować. Były taksówkarz woził mnie rozwalającym się mercedesem z

tubą na dachu aż do Nowego Korczyna. To jest w kierunku Sandomierza. I tam, jak tylko widziałem ludzi, to krzychałem do tej tuby: „Głosuj na Solidarność” Rozdawaliśmy też ulotki z [kandydatami Solidarności] z Komitetu Obywatelskiego Każdy z nich miał zdjęcia z [Lechem] Wałęsą. Więc gdzieś [je] rozdawaliśmy, przyklejaliśmy. I to była taka jazda.

W Krakowie byłem wtedy trochę obcy. Bo ja tu nie studiowałem. Miałem swoich kolegów z liceum, [lecz] oni się tak mocno [w tym] nie [siedzieli]. Tak mi się wydaje, że żaden z nich chyba nie był w to aż tak zaangażowany. Może się mylę albo nie pamiętam. W każdym razie po sześciu czy siedmiu latach [mieszkania] poza Krakowem miałem z nimi luźny [kontakt]. „Cześć. Co tam słysząc? Idziemy zagrać w siatkę?” Natomiast nie było jakichś głębszych rozważań i chodzenia na manifestacje.

A w Lublinie, rzeczywiście, przyjeżdżałem i rozwieszaliśmy ulotki, robiliśmy dość sporo dokumentacji fotograficznej. [Organizowano] jakieś zebrania przedwyborcze (na przykład w FSC [Fabryka Samochodów Ciężarowych –red.]) albo ktoś przyjeżdżał na KUL, UMCS czy do Chatki Żaka. Biegłem tam [wówczas] z aparatem. Oczywiście, nie tylko po to, żeby [wszystko] udokumentować, ale też żeby zobaczyć [przysłuchać] osobę, posłuchać [jej]. To było niezwykle interesujące.

Na KUL-u [pracował Ryszard] Bender się nazywał. Matko Bosko [Istnieją] tacy [ludzie], którzy uważają się za profesorów i robią straszliwe rzeczy. I Bender był między innymi takim właśnie człowiekiem. Jak się go słuchało, to człowiekowi robiło się słabo. A on na KUL-u miał dosyć duże [poparcie]. Przynajmniej tak mi się wydaje, [takie] robił wrażenie. Był zapraszany nawet z jakimiś wykładami. I on gadał na KUL-u, co było dla mnie niezwykle. To już było później, w latach dziewięćdziesiątych. Czyli już po wyborach [czerwcowych]. Trochę przeskoczyłem [opowieść], żeby pokazać, że to był ciągły proces.

4 czerwca [1989 roku] byłem chyba w Krakowie. Tak mi się wydaje. Bo [odbywało się] głosowanie, a my mieszkaliśmy na [osiedlu] Widok [w Krakowie]. [Taki miałem] adres zamieszkania, więc raczej byłem tam. Ja pamiętam wybór papieża, a nie pamiętam 4 czerwca. Już musiałem być mocno zmęczony. Bo my naprawdę mocno przygotowywaliśmy okolicę [do wyborów]. Tak, na pewno byłem [wtedy] w Krakowie. Tak naprawdę [1989 rok to była] euforia. To było niesamowite, że [wzięli] nas do współpracy [tacy] ludzie. [Choć] jak się jest na miejscowym rynku, to człowiekowi się wydaje, że to są jakieś niesamowite postacie. Ale one były znane na miejscowym rynku, czyli w okolicy Lublina, w lubelskim. I oni nas prosili o pomoc. My pomagaliśmy, robiliśmy zdjęcia, rozwieszaliśmy plakaty, chodziliśmy na różne spotkania, [które] dokumentowaliśmy. To było dla nas nobilitujące –przynajmniej dla mnie. Nie wiem, jak reszta chłopaków, ale ja za siebie muszę powiedzieć, że to było fajne, [iż] nas chcą, doceniają i widzą, że jesteśmy, że istniejemy... Nie wiem, na ile wykorzystano [nasze fotografie]. Podobno niektóre z naszych zdjęć wyjechały gdzieś na Zachód. [Podobno stworzono] dokumentację tego, co się działo również tutaj na wschodniej ścianie, i [wywieziono] gdzieś na Zachód. Przynajmniej tak opowiadał

Przemek Omieczyski. Bo [to] on zawoził [nasze fotografie] do Warszawy i miał [tam z kimś] kontakt. Nie wiem z kim, bo tego nie [mówił].

1989 [rok] nie był jeszcze pewnym rokiem. Jednak cały czas komuna [trzymała się] bardzo mocno. Przecież [Wojciech] Jaruzelski [pełnił] później [funkcję] prezydenta. W 1980 roku [zapanowała] euforia Solidarności –jesteśmy, idziemy ku wolności. Potem 13 grudnia 1981 [roku] dostaliśmy wszyscy w łeb. Natomiast [w 1989 roku] trochę było lepiej. Widziało [się], że to wszystko się kruszy. I Niemcy, i nawet Rusczy, Rosjanie, i Rumunia. To tak po kolei szło. [Czuliśmy się] może trochę bezpieczniej, ale braliśmy w tym udział. To było kapitalne. [Z tamtego okresu] utkwiły mi [w pamięci] różne manifestacje czy sittingi pod KUL-em.

### **18. Agencja Fotograficzna „Terra”**

Na piątym roku [pojechałem do] Włoch na wymianę studencką. Byłem w Pizie. Przekapitalne miejsce. Tam ześmy się spotkali. Stare budynki dobrze na mnie działają. A Piza i [jej] okolice to etruski [obszar]. Znajduje się tam] miejscowość, która się nazywa Volterra. Mnie strasznie cieszyło, że ja mogę tam chodzić, dotykać murów, które mają po kilkaset lat. [Zachwyciłem się tym], że ktoś tę cegłę robił ręcznie. Nieprawdopodobnie mnie to pasjonowało. Robiłem tam też zdjęcia. Jedno z nich wywołałem nawet w wielkim formacie A3. [Przedstawia ono] tak ładnie kościół z jakimiś murami.

Volterra to było super miejsce. Niesamowicie mi się spodobało. I jak wróciłem do Polski, organizowaliśmy wtedy „BIS”[„Biuletyn Informacji Studentów KUL”–red.]. To trzeba byłoby przetłumaczyć jako biuro samorządu. To było NZS-owskie. [Prowadziliśmy] drukowaną gazetkę, coś tam pisaliśmy, [robiliśmy] zdjęcia. Co prawda jak się popatrzy [na te] zdjęcia, to kropeczki widać. To była bardzo prymitywna metoda drukowania.

„BIS” jak każda gazeta, musiał mieć dział fotograficzny. Więc ujawniło się kilku z nas. Nie chcieliśmy pisać. Generalnie [rzecz] biorąc, dla weterynarza pisanie nie jest największą pasją, ale fotografia, owszem. Więc wydzieliła się grupa fotografujących. Co ciekawe, wtedy byliśmy [bardzo zafascynowani] tą prasą i [tym], że jesteśmy dziennikarzami. Chodziliśmy po mieście, oglądaliśmy, robiliśmy zdjęcia, pisaliśmy artykuły [o tym], co się wydarzyło. Nawet nas przyjęto do SDP –Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Mam legitymację z tamtego czasu. Tak że to nie było takie byle co. Myśmy tam dość intensywnie działali. Robiliśmy masę zdjęć.

[Pomyśleliśmy, że] trzeba wymyślić jakąś nazwę. Nie mogliśmy mówić, że jesteśmy „BIS, bo [to] nie [była prawda]. Tworzyliśmy] tylko tam agencję fotograficzną. [Więc musieliśmy] się jakoś nazwać, żeby nas widać było w Polsce i najlepiej [również] na świecie. [Przeprowadziliśmy] taką dyskusję, jak się nazwać. Ja wpadłem wtedy na pomysł. My nie [chcieliśmy] zawężać naszej działalności do samego Lublina. Nie byliśmy miejscowi, [pragnęliśmy działać] ogólnopolsko. Świat. [Więc] niech [nasza grupa] nazywa się Terra. [Ponadto] gdzieś w pamięci cały czas miałem tę Volterrę [i

towarzyszyła mi myśl], że to takie fajne miejsce. I nazwaliśmy się Agencją Fotograficzną „TERRA”

I działaliśmy pod tymi auspicjami. Co było nawet fajne, bo byliśmy identyfikowani. Później z legitymacją, plaketką „Press” mieliśmy wstęp na różne imprezy. Między innymi [na spotkania Helmuta] Kohla na KUL-u albo [Zbigniewa] Brzezińskiego –takich postaci, o których w tej chwili raczej wiadomo, [kim] były. Ja mogłem wejść pod ambonkę, z której mówili Kohl albo Brzeziński. Brzezińskiemu w twarz [świeciłem] lampą błyskową z odległości metra. Nawet mnie ochrzaniano, że tak nie powinno się robić, ale myśmy się tego tam uczyli.

Uczyli nas fotografowie, reporterzy z krwi i kości. Tam przyjeżdżały naprawdę tuzy fotografii. Nauczaliśmy się też rozpychać łokciami. Bo w reporterce to jest niesamowicie ważne, że jak przychodzi gościu z kamerą i cię odsuwa, to ty masz wejść [w niego] bodiczkiem i [robić swoje]. Bo ty masz to jedno ważne ujęcie. To taka szkoła. Fajna szkoła. Myślę, że ktoś, kto [patrzył na] to z boku, myślał: gówniarze się bawią, grają w gry, ale to było fajne, takie sympatyczne.

Co ciekawe, mnie teraz tego brakuje. Tej odwagi. Wtedy, mając tę plaketkę i pracując dla gazety (mimo że to była tak naprawdę nasza gazeta) miałem więcej odwagi, żeby podchodzić blisko do ludzi i robić im zdjęcia. W tej chwili mam blokadę. Na przykład [podczas] tych żydowskich obchodów na Kazimierzu w Krakowie chętnie bym podszedł i zrobił im zdjęcie. Nie dlatego, że później pokażę: „A, to są Żydzi” tylko to jest fascynujące. Zobaczyć te twarze, zobaczyć, co oni przeżywają, jak się zachowują, jak się modlą. Bo to widać w ekspresji, w oczy, w twarzą. [Chciałbym] zrobić takie portrety. Teraz mam opory. Kiedyś w ogóle [nie miałem] oporów, żadnych.

Oczywiście, to się nabywa po pewnym czasie. To jest trochę denerwujące, ale to widać u niektórych reporterów. [Oni] przychodzą ubrani byle jak na poważne imprezy i nie zastanawiają się, czy zrobić zdjęcie, czy nie. On podchodzi, [fotografuje], nawet podziękuje, [nic] nie powie, [tylko] idzie do następnej [osoby], robi zdjęcie, zawraca, chodzi między rzędami... Człowiek nabiera trochę takiej znieczulicy na wstyd. Na to, że trochę głupio, [że] nie wypada. [On] tego [już] nie ma. Po prostu trzeba zrobić [swoją] robotę. Ale [tak jest] tylko wtedy, kiedy ma się na zapleczu [myśl]: ja to muszę zrobić, bo to będzie fajny materiał.

Chyba wszyscy trochę tak działaliśmy. Niektórzy mniej, niektórzy bardziej śmiesznie. Było nas tam kilku. Niektórym te zdjęcia wychodziły lepiej, niektórym gorzej. Niektórych zdjęcia były w większości ruszone, bo zadrżała [im] ręka. Zresztą nie ukrywam, że ja, jak robiłem zdjęcie milicji z bliska, to też [zrobiłem] ruszone zdjęcie. Bo wiedziałem, że zaraz muszę uciekać do tłumu.

## 19. Sittings przed KUL-em

[Organizowano] tak zwane sittings przed KUL-em. Siedzieliśmy tam i drażniliśmy esbeków, którzy jeździli po [Alejach] Raławickich. Później kręcili nas kamerami, że



nas będą wyłapywać. Zresztą wyłapywali. [Dariusza] Wójcika na przykład złapali, KPN-owca i go przetrzymywali. Wtedy [pojawiła się] fantastyczna okazja, żeby krzyknąć: „Uwolnić Wójcika!” to się samo nakręcało. Teraz [o tym] się opowiada, oczywiście, to jest śmieszne, ale z drugiej strony to [była] trochę dziecinada. Wtedy to nie było takie hop-siup. Teraz ja mogę iść przed policjantem i mu się popukać w głowę. I co on mi zrobi? Że co, że się popukałem w głowę? Bo mnie tu zaswędziało. [Wówczas], przepraszam bardzo, ale takie coś nie wchodziło w rachubę. Można było wpaść [na] tak zwany dołek tak jak ten rzeczony [Dariusz] Wójcik.

Przed pocztą na placu Litewskim [znajduje się] pomnik z orłem [Konstytucji 3 Maja]. Tam KPN miał zaprzysiężenie [czy] coś takiego. Przyjechał wtedy [Leszek] Moczulski. [Poszedłem] robić mu zdjęcia. [Oni] tam stali, salutowali... To jest akurat to, czego ja teraz nie lubię. To znaczy tacy przebierańcy. Niektórzy to czują, niektórzy chcą się przebrać za żołnierza i poudawać jakiegoś ułana, szwoleżera albo jeszcze jakiegoś innego pieszego zaciężnego; albo [żołnierza] wojska [generała Władysława] Andersa czy [generała Stanisława] Maczka.

[Milicja podczas sittingów] wyłapywała ludzi. Siedzieliśmy w takiej masie, żeby właśnie było nas trudno wyłapać. [Chodziło o to, żeby milicjanci, którzy] przyjechaliby jakimś ubeckim wozem, nie byli w stanie wyskoczyć i wciągnąć [któregoś z nas] do samochodu. [Pewnego razu] siedzieliśmy na schodach przed KUL-em, [i prowadziliśmy] pierwszą zbiórkę. [Stało] jakieś pudełko i tam zbieraliśmy na coś pieniądze, nie pamiętam na co. Nawet jest zdjęcie, jak starszy człowiek wrzuca [pieniądze] do skarbonki. Na [innej fotografii] widać stojącą milicyjną budę, jelicza. Ona [stała] tuż przy hotelu Unii.

KUL był o tyle fajny, że [stanowił] święte miejsce. Jak kościół dla diabła. Ubecy tam nie wchodzili. Wycofywaliśmy się tam i mogliśmy sobie robić, co się nam podobało. Oczywiście, [kiedy] później któryś z nas gdzieś wychodził, to [milicjanci mogli go] wyczaić. Ale to chyba nie na tym miało polegać, [tylko] raczej [na] zastraszeniu. Więc to były sittingi.

## **20. Spotkałem się z generałem Maczkiem**

Spotkałem się z [generałem Stanisławem] Maczkiem. To była ciekawa historia. [W liceum] na wycieczce do Anglii z profesorem [Markiem] Eminowiczem pojechaliśmy do Szkocji. [Generał Maczek, już] jako starszy pan mieszkał wtedy u pana Mełgesa w hotelu. Mełges pochodził z Polski. Jego syn był leśniczym w Ojcowie i mieszkał drzwi w drzwi z nami na ulicy Syrokomli, [kiedy] jeszcze mieszkaliśmy w centrum miasta. To tak śmiesznie było. Na przykład pan Mełges przyjeżdżał z Anglii Citroënem (niezwykłym [jak] na tamte lata) w bajecznym kolorze, błękitnym jak niebo.

[I kiedy] pojechaliśmy do Anglii, to moja mama załatwiła trochę po znajomościach, że się spotkaliśmy z generałem Maczkiem w Szkocji [oraz] z paniami Piłsudskimi w Londynie. Bo one wtedy [tam] przebywały. To było niezwykle. Mały pan, dosyć niski człowiek. Bardzo sympatyczny, trochę chyba niedosłyszący. Zostałem mu

przedstawiony: „To jest Tischner” A on [powiedział]: „O, nie nadałby mi się do czołgu. Za wysoki”. Więc, niestety, nie byłbym mile widziany w brygadzie Maczka. Ale wtedy fajnie się dotykało historii. To było niezwykle. [Podczas tej wycieczki] przejechali trasą historyczną z jakąś Polonią. [Więc ci] ludzie, których się po drodze spotyka (Moczulski i tak dalej), [tworzą] tak naprawdę prawdziwą Polskę. [Oni], a nie krzyki [oraz] sztuczne manifestowanie naszej polskości.

## 21. Teraz pootwierały się granice

Teraz pootwierały się granice. Dzieci nie są w stanie [tego] docenić. W te wakacje byliśmy z córką we Lwowie. Syn nie chciał z nami jechać, wolał grać w piłkę. Jest młodszy, więc jeszcze będzie miał czas go wziąć. Córka –siedemnasto-, osiemnastolatka –była [tam] wcześniej z wycieczką. Pojechali sobie pociągiem. Wszystko było cacy, bo [podróżowali] w kokonie.

Pojechaliśmy my. W Zamościu wsiedliśmy do autobusu. Autobus miał jechać przez jedno [przejście] graniczne. Okazało się, że tam jest kolejka, [więc skierował] nas na inne. I nagle się okazało, że na granicy trzepią. Trzeba [było] mieć paszport. Wysadzali ludzi z autobusu, wyciągali walizki czy torby, sprawdzali, co w nich jest... I siedemnastolatka, która w życiu nie przejeżdżała przez granicę ([przelatywała samolotem], ale to nie jest to), [musi] pokazać paszport. Dlaczego?

Wjechaliśmy na Ukrainę. Okazało się, że kawałek [jechaliśmy] dobrym asfaltem i nagle –łup. [Córka poprzednio] jechała pociągiem, [więc] nie widziała wsi, chudych koni, pól. Przejeżdżaliśmy przez Sokal. Ładna okolica. [Aż] mi się trochę żal zrobiło. W każdym razie dojechaliśmy do Lwowa. I ta sama historia. Piękny Lwów, [który] wymagał ogromnych nakładów, żeby zaczął świecić. Przecież kiedyś był lepszy [od] Krakowa. [Stanowił] centrum naukowe. Poeci i tak dalej. Cmentarz Łyczakowski pięknie pokazuje tę historię.

Po roku [2007 –red.], [kiedy Polska weszła do] strefy Schengen, przejeżdżamy [przez granicę], nie wiedząc, gdzie [się znajduje]. Pojechaliśmy do Chorwacji. Wsiedliśmy w samochód, [zabraliśmy] tylko dowód. Chyba jakoś przejeżdżaliśmy [przez] Słowenię. Gdzieś mi się drogi pomyliły. I jakiś gościu chciał od nas dowody osobiste. Po [kilkunastu] latach [bycia w strefie Schengen] zastanawiałem się, po co mu [one, skoro] jadę z Węgier do Chorwacji. [Zapytałem]: „Naprawdę? A po co?” „No jak? Tu jest granica” „Ale wszystkich?” „Tak, wszystkich”. Wziąłem od wszystkich dowody osobiste, pokazałem. „Dobra, jedźcie” [Po prostu człowiek ten] siedział na granicy, nudził się i miał takie widzimisię, żeby sobie sprawdzić [dokumenty]. Jak to się strasznie zmieniło... I widać na ulicach tych najeżdźców, imigrantów z Arabii [czy] skądś [indziej]. A [mnie] aż głupio, [że oni] nie przyjeżdżają tu, [że] nie chcą. Czemu? Czemu jadą do Niemiec, do Francji? U nas jest gorzej? Przecież jest lepiej. Przecież tu wszyscy twierdzą, że jest super, idealnie, fantastycznie. [Oczywiście, teraz] ironizuję. Ale to czasami jest potrzebne.

## 22. Ludzie z „Terry”

W [Agencji Fotograficznej „Terra”- red.] byłem na samym końcu. Tam [działali] ludzie, którzy chcieli się zaangażować, głównie studenci. Naszym, powiedziałbym, rasowym fotoreporterem był Roland Mielnicki. Najbardziej tajemnicza postać w całej agencji. Roland nigdy nie pojawiał się wtedy, kiedy się go spodziewaliśmy. Trochę jak hiszpańska inkwizycja –nikt się nie spodziewał hiszpańskiej inkwizycji i nikt się nie spodziewał Rolanda. Przesympatyczny chłopak. Bardzo dobry fotoreporter. Nie lubił być fotografowany. Ale mam kilka [jego] zdjęć, także jest udowodnione, że [działał] w [naszej] agencji. [Roland] w tej chwili pracuje w Tymbarku, koło Limanowej w Małopolsce. Chyba jest dziennikarzem. Chociaż nie wiem. Straciłem trochę kontakt z tymi ludźmi. Ale nie dlatego, że chciałem, tylko [z braku] czasu. Każdy z nas [założył] później rodzinę. To zajmuje trochę czasu. Szczególnie jak [wchodzi w grę] duża odległość. Nawet ten Tymbark. Niby [dzieli go] od Krakowa sześćdziesiąt kilometrów. Ale to jest sześćdziesiąt kilometrów. Więc to był Roland.

Przemek Omieczynski był szefem tego [wszystkiego]. On też robił zdjęcia, chociaż bardziej, powiedziałbym, hobbystycznie. Jakoś specjalnie mocno nie angażował się w fotografię. Przynajmniej ja [tak to] zapamiętałem. [Ponadto w agencji działali też] Mietek Wójtowicz (bardzo intensywnie) [oraz Grzegorz] Jakubowski. Z [Grzegorzem] od bardzo dawna nie mam kontaktu. Podobno teraz jest fotografem prezydenta. Chyba jako jedyny wyszedł z agencji i poszedł w prawdziwą fotoreporterkę. Z takich [osób], które [obecnie] są popularne medialnie, [do Terry należał] Piotrek Semka. Pamiętam, jaki zrobił numer, [kiedy dokonał się] przewrót w Rumunii. Wziął i pojechał [tam] robić zdjęcia. [Istnieją] tylko dwie możliwości. Albo ktoś jest wariatem i jedzie się narażać na śmierć, albo [ma] pasję. Wolę wierzyć, że to była pasja. Zresztą widziałem zdjęcia [Piotra]. Na pewno był w Rumunii i na pewno wtedy, kiedy zastrzelili Nicolae Ceaușescu. Wiem, że nakleił sobie na plecach kartkę A4 z napisem „Press” Może dlatego go nie zastrzelono.

Maciek Chmielowiec z tego, co pamiętam, nie robił zdjęć. Był trochę naszym wędrownym hipisem. Długie włosy, opaska, gitara... Tak do końca nie wiem, [czym] on [się zajmował w agencji]. Czy pisał, czy tylko śpiewał ([to] oczywiście żart). Nie pamiętam dokładnie, jakie miał funkcje.

Żeby było śmiesznie, [w agencji „Terra”działał] jeszcze jeden [człowiek] –Jan Hartman. Co prawda on był jakby stowarzyszony. Nie [należał] ściśle [do] naszej grupy. Był człowiekiem, który wtedy na KUL-u organizował czasopismo „Principia” Obecnie [jest] panem profesorem z UJ-otu. Jasiu Hartman [wówczas] bardzo się identyfikował ze [społecznością] żydowską. Jego ojciec był chyba matematykiem z Wrocławia. Janek przyjechał na filozofię do Lublina z narzeczoną (teraz żoną). [Oboje] pojawiali się w „BIS-ie”. On coś tam pisał, ale głównie był redaktorem.

Pamiętam fantastyczne sceny [z Janem Hartmanem]. Bo ja się starałem ([i tak mam] do dzisiaj), żeby się nie zestarzeć mentalnie, żeby za bardzo nie spoważnieć. Nie lubię tego. Jak patrzę na [jednego] stryjka, na drugiego czy na ojca, to oni wszyscy,

jak tylko mogą, zawsze robią sobie jaja. [Choć] trzeba [przy tym] być bardzo ostrożnym i dokładnie słuchać. Wtedy właściwie wszyscyśmy tacy byliśmy. I mieliśmy wyjazd do Kosarzysk. Ja do dzisiaj mam to przed oczami. Chyba Przemek [Omieczyński] zorganizował miejsce. To było blisko siedziby moich dziadków, Kosarzyska [leżą niedaleko] Piwnicznej[-Zdroju]. Piwniczna [z kolei znajduje się] blisko Starego Sącza. Więc takim skokiem jechaliśmy do Kosarzysk. Tam zorganizowaliśmy sylwestra. Każdy miał się jakoś przebrać. Ja ubrałem takie stare spiskie portki (tak to się nazywa po góralsku, po polsku spodnie, a po spisku –nogawice) cyfrowane, czyli wyszywane. Prawdziwe góralskie portki z filcu (straszenie gryzące). [Miałem je] po moim wujku –mojej babci bracie Sebastianie Sobku. On był strasznie wysokim chłopem, więc na mnie te portki super [pasowały]. Pamiętam, pojechałem w tych portkach ze swoją dziewczyną (obecną żoną) do Kosarzysk.

To było niesamowite. [Zorganizowaliśmy tego sylwestra] w takim domu, gdzie się paliło w piecu, więc było ciepło. Alkoholu wtedy dużo nie [mieliśmy]. Wszyscy raczyliśmy się jednym szampanem [jedną butelką], może jakimś winem. To nie tak, że [się upiliśmy]. To była młodzieńcza, powiedziałbym, zabawa, impreza. Nie [mieliśmy też] dużo jedzenia. Jakiś serek, jakaś bułka... W naszych czasach studen\_ckich nas po prostu nie było na nic więcej stać. Mieliśmy swoje zbierane muzyczki na różne imprezy typu Ćwiertniówki (imprezy NZS-owskiego towarzystwa). [Puszczano tam] różne melodyjki, [które] znaliśmy. Czasami były to zupełnie prymitywne [kawałki, podobne do] disco polo. [Choć] wtedy nie [grano takiej muzyki]. Jacek Łęski, praktycznie [rzecz] biorąc, nie robił zdjęć. [W agencji pracował] bardziej jako reporter. Nie pamiętam, żeby zrobił jakąś [fotografię]. Bardzo ważną postacią [był] Adam Urbanowicz. [Pochodził] z Białegostoku. Wysoki, fajny chłopak, bardzo sympatyczny. Taka wschodnia dusza –tak powoli... Marek Matejczuk –[podobnie jak Jan Hartman –był stowarzyszony, sprzymierzony [z „Terra”]. Przemek Jaśkiewicz –nie wymieniałem go na początku, [ponieważ] wydawało mi się to oczywiste. [Już] tak bardziej na imprezach [towarzyszył nam] jeszcze Marek od Szczypawy [prawdopodobnie chodzi o Marka Ćwiertnię –red.]. Nie pamiętam, jak się nazywał. Miał dziewczynę, którą nazywali Szczypawą. [Dlatego] Marek od Szczypawy. On zawsze na imprezach występował we fraku. W ogóle był bardzo elegancki, nonszalancki.

[Działały tam też] Baśka Malinowska (w tej chwili Stasiak), moja żona i Magda Wrońkowska. Baśka [była] żoną [ministra Władysława Stasiaka –red.] –tego, który zginął w samolocie w Smoleńsku. Bardzo sympatyczna [osoba]. One pisały [do „BIS-u”], robiły korektę. [Działało tam] też kilka innych dziewczyn. [Niestety], w tej chwili nie do końca pamiętam [ich] imion. [W agencji] było chyba więcej facetów niż dziewczyn. Takie to było towarzystwo [agencji „Terra”. Pewnie [działał] ktoś, o kim, sorry, ale zapomniałem. [Lecz] nie dlatego, że był nieważny, tylko dlatego, że mam sklerozę. [Bo] to nie są wszyscy [członkowie „Terry” tylko] część. To są ci, którzy tworzyli rdzeń. Chodziliśmy [razem] na imprezki, na Ćwiertniówki. I to było kapitalne.

### 23. Weterynaria jest kierunkiem znanym z tego, że lubi się odstresować

[Kiedy] po prostu musieliśmy się wydobyć ze swoich siedzib, [chodziliśmy na] Ćwiertniówkę. W tej chwili [w tym miejscu] jest obwodnica Lublina. [Tam stał] domek. Były pola, łąki, jakieś ogródki, boczna uliczka. Ćwiertniówka się wzięła od nazwiska. Może [od] Marka Ćwiertnii? Nie, nie wiem. Tam [odbywały się] te imprezy. To były jakieś sylwestry... Bo [organizowano] Ćwiertniówki wyjazdowe, między innymi właśnie [ten sylwester] w Kosarzyskach. Spotykaliśmy się, bawiliśmy, tańczyliśmy, jedliśmy (paluszki czy coś).

To jest bardzo ważna informacja: lubelski hotel Unia koło KUL-u [stanowił] jedyne miejsce, gdzie za poważną walutę (albo za bony, albo za dolary) można było kupić alkohol. Jak ktoś [należał do] bogatych, bo [zwykłych ludzi] nie było na to wtedy stać. Tam [się mieścił] po prostu Pewex. Ja chyba raz kupiłem [w tym miejscu] jakieś wino. Przyjechałem wtedy z zagranicy. Człowiek przy *piniondach*, to, proszę bardzo, kupię kolegom wino. Tam [istniała możliwość] kupienia na przykład bolsa. To było niesamowite, bo normalnie w Lublinie [w tamtych czasach] nie [kupiło się] nawet piwa.

Weterynaria jest kierunkiem dosyć znanym z tego, że się lubi odstresować. My byliśmy [stosunkowo] kujący. Uczyliśmy się naprawdę strasznie dużo. Ale KUL do pięć nam nie dorastał, jeżeli chodzi o imprezy ciężko gatunkowe. W Dodku odbywały się [zabawy, w trakcie których] chłopaki schodzili po rynnie z drugiego czy trzeciego piętra. Portier siedział na dole i nie wypuszczał albo nie wpuszczał. Więc chłopaki wchodzili [albo wychodzili] do Dodka przez pokój numer 12. Jeden uszkodził sobie nawet kręgosłup. Nie za mojej kadencji, ale wiem, że tak [się zdarzyło]. Ostatnio byłem [w tym domu akademickim]. Widziałem, że okno [zostało] zakratowane, [więc] to chyba już jest poważna sprawa. Wtedy Dodek był zamknięty. Na drugim czy na trzecim piętrze [mieściła się] tam sala imprezowa, [gdzie] odbywały [się zabawy] weterynarii. Weterynaria naprawdę bawiła się dosyć mocno.

Z tego, co pamiętam, [istniały] dwa miejsca w Lublinie, gdzie można było kupić lubelskie piwo Perła. Jeden [znajdował się] przy [ulicy] Głębokiej; blisko lecznicy, hurtowni weterynaryjnej, tak na końcu ulicy. To między [ulicą] Raabego czy Akademicką, mniej więcej w połowie, był taki sklep. Wysyłało się tam jednego czy dwóch [kolegów] z weterynarii, [którzy] zamiast iść na wykłady stali w kolejce przed otwarciem. Koledzy dawali [im] kasę, żeby kupili piwo. Bo tam raz w tygodniu [je] przywozili. Myślę, że jak tubylcy [zobaczyli] stojącego studenta z plecakiem [przed sklepem], to już nie stawali w kolejce. Bo on brał wszystko, co było.

Drugie [takie] miejsce [znajdowało się] przy ulicy Turystycznej, [przy której mieściła się] rzeźnia. To był już czwarty, piąty rok. Bo takie koty z pierwszego czy drugiego rocznika siedzą i się uczą albo mogą lecieć nam po piwko. Więc [tacy] kumple też tam szli. [W tym miejscu] mieliśmy zajęcia z tak zwanego mięsa. Badaliśmy krowy, mięso (nawet takie zajęcia są na weterynarii). [Zaczynaliśmy] o siódmej [albo] o

siódmej trzydzieści. A ten sklep otwierano o szóstej. [Więc] przed zajęciami szliśmy i [robiliśmy] zakupy na późniejszy czas.

Widać, jaka była różnica. [Z jednej strony] weterynaria, która szukała [zabawy. Z drugiej strony] kulturalni „BIS”i KUL, [gdzie pewnych rzeczy] nie wypada [robić. Choć], oczywiście, towarzystwo się mieszało. Tak to wyglądało.

#### **24. Kiedyś KUL miał konstrukcję w kształcie litery „U”**

Moja mama mi opowiadała, że [kiedy] studiowała, KUL [miał konstrukcję] w kształcie litery „U” Tam była wnęka. Potem, przed moją bytnością w Lublinie, zabudowano ją harmonijką. I KUL się zamknął. Zrobił się normalny dziedziniec. Z tyłu [znajdował się] kościół [oraz] mieszkania dla księży, którzy studiowali. To ma jakąś swoją nazwę. W tej chwili [jej] nie pamiętam. Tam, gdzie w tej chwili [stoi] ten szkaradny budynek, [mieściła się] salka katechetyczna, taki barak. Potem było pole. I tam chyba w latach osiemdziesiątych zaczęto budowę [tego] szkaradztwa, [tej] dobudówki. Sorry, ale uważam, że to jest jakieś nieporozumienie, [iż] ktoś, kto to zaprojektował, pozwolił na szyby cały czas wyglądające jakby były brudne, takie miedziane.

[Tę budowę] zasłonięto deskami. Zresztą podobnym płótem cały czas był zasłonięty Teatr w Budowie. [Tak się to] nazywało, [bo] to cały czas było budowane. Czyli [teren niedaleko] hotelu „Unia” potem był kawałek parku (nazwijmy to parkiem) i potem Teatr w Budowie, gdzie później znalazło się radio. Wtedy to [było] ceglane szkaradztwo, ale teraz to bajka. A na płocie przy KUL-u przybijaliśmy różne rzeczy, ewentualnie ktoś coś tam malował. Teraz nazywalibyśmy to graffiti. Między innymi była kapitalna „Guernica”

#### **25. Kullages to było coś kapitalnego**

Kullages to było coś kapitalnego. To były koncerty, występy teatrów, [między innymi teatr Leszka] Mądzika. To takie juwenalia, tylko [że] skupione na dziedzińcu [KUL-u]. Kapitalne, bo to były masę takich artystycznych naprawdę fantastycznych wydarzeń. Inna sprawa, że skończyły się, powiedziałbym, dosyć drastyczną sceną. To [wydarzyło się] chyba w 1991 [roku]. Mianowicie [odbywał się] jakiś koncert i była szampańska zabawa, wszyscy się bawili. Wtedy [stanowiliśmy] pierwsze pokolenie, które miało dostęp do palenia trawki, [do] tego typu [używek. W tamtym czasie] stawało się to bardziej dostępne, tak mi się wydaje. Któryś ze studentów przesadził z ilością tych różnych używek i rozwalił gaśnicę w auli KUL-u. Otworzył [ją] i poszła piana. Ktoś [inny] rozwalił jedną z rzeźb [stojących] na dziedzińcu. A to były drogie rzeźby. Jakiś artysta [je] tam postawił. [Więc] ta gaśnica plus [rzeźba] zakończyły Kullages. Gdzieś [je] przeniesiono. Zdaje się, [że] potem stały się bardziej, powiedziałbym, okiełznane. Natomiast do tamtego momentu to było naprawdę czyste szaleństwo. Rewelacyjna impreza. Ludzie polegiwali sobie na kocykach na trawnikach. [Robili] taki piknik.

## 26. Stołówka na KUL-u –takiej stołówki nikt nie miał

Za pomnikiem papieża [Jana Pawła II] z [kardynałem Stefanem] Wyszyńskim [mieściła się] stołówka. Była wyjątkowa. Takiej stołówki nikt nie miał. Z tego, co pamiętam, to była chyba najgorsza stołówka studencka, jaka istniała w Lublinie. Nawet gorsza niż ta w Chatce Żaka. Jadło się na ceratach. Raz [poszedłem] tam na obiad, bo mnie dziewczyna zaprosiła. Bo można było sobie kupić obiad [za] takie karteczki. To było tak cienkie, że szkoda gadać.

À propos stołówek, w Chatce Żaka zdarzeniem nie z tej ziemi były pierogi z kaszanką. [W Krakowie] się tego nie je. A [te pierogi z kaszą] to jest jakaś Lubelszczyzna. Ja wtedy pierwszy raz w życiu [tego] spróbowałem. Niestety, to był jeden z obiadów, których nie byłem w stanie dokończyć. Przeszło moje wyobrażenia, że takie coś można zjeść.

## 27. Sztuka ulotna na płotach

[Ten płot znajdował się] z drugiej strony [Teatru w Budowie]. Tutaj [wznoszono] budynek KUL-u. To jest bliżej Łopacińskiego czy [Karczmy] Słupska, od strony [Alej] Racławickich. [On] dochodził do [tej] ulicy. Bo wtedy cały KUL zasłaniały deski. Płot bliższy teatrowi [był] podwójny. Tam wystawały krzaczory. [Jego] totalnie zaklejono [plakatami].

Malunki na nich były wywołane sytuacją. [Widniały tam] plakaty Solidarności, [na przykład Tadeusza] Mańki z [Lechem] Wałęsą. „Nieznany sprawco, nie zrywaj plakatów, bo zabrudzisz mundurek” „Żądamy zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym” „Żądamy legalizacji NZS-u” „Strajk okupacyjny” „Uwaga, dzisiaj w nocy rozpoczął się strajk okupacyjny na UMCS. Żądamy...” –to były tego rodzaju hasła. [Ten] strajk [w sprawie NZS-u został ukazany] na zdjęciach, [na których widać, jak] siedzimy w auli i głosujemy. Rzeczywiście, my tam nocowaliśmy, spaliśmy w śpiworach. [Swoją drogą], poszliśmy wtedy do rektorów [i powiedzieliśmy]: „My tu jesteśmy i chcemy legalizacji” Co prawda na UMCS-ie nas nie znali, ale co nas [to obchodziło]. Nie [studiowaliśmy na] UMCS-ie, [lecz byliśmy] przedstawicielami.

W każdym razie to były bardzo kolorowe fajne obrazki. Nie wszystkie, ale sporo [powstało] w kolorze. Dalsze [stworzono] chyba w czerni i bieli. One się co jakiś czas zmieniały. Byliśmy trochę wkurzeni, bo ludzie przyklejali na tym plakaty, [na przykład zapraszające na] jakiś spektakl. Ktoś w nerwach zaczął [nawet je] zdzierać. Wkurzyło go, że na takim fajnym obrazku coś takiego powstaje. [Bądź co bądź] była to sztuka ulotna. [I bardzo] ciekawa. Ja to fotografowałem, bo mi się to najnormalniej na świecie podobało. Po prostu robiłem [zdjęcia tym] plakatom ewidentnie dokumentacyjnie.

To było naprawdę fajne. I fajnie by było nawet kiedyś [to] wydrukować i [na przykład] zrobić z tego lamperię czy, nie wiem, spróbować odtworzyć gdzieś na jakimś budynku. To mogłoby być nawet ładne. To jest fajne, co tu dużo gadać. A jeszcze jakby się znalazło [Jarosława] Koziarę, który narysował czy namalował [„Guernicę po

polsku”–red.], to może byłby w stanie [to] powtórzyć. Wiem, że na pewno nie byłem jedynym, który [fotografował] ten płot. Nie wiem, czy sam [Jarosław Koziara] nie robił zdjęć.

Te plakaty rozwieszano w różnych miejscach. Tak naprawdę [hasła] „Dwa plus dwa musi być zawsze cztery” „Żeby Polska była Polską”wtedy [stanowiły] swego rodzaju odwagę też tych [osób], które pracowały na weterynarii, bo pozwoliły [one] na [ich] wywieszenie, a przede wszystkim nie zdarty [tych plakatów]. Pewnie rozwieszono [je] potajemnie, [mimo to ich] nie zdarto.

Nie wiem, czy plakaty „Zgoda buduje”nie były właśnie pezetpeerowskie. „Zgoda buduje”–takie zawołanie. Bardzo możliwe, że oni to sobie plakatowali.

[Plakaty bywały] zaklejane. Inna sprawa, [iż] ktoś, kto zaklejał obwieszczenia, był idiotą, że tak powiem, reklamowym, bo zostawało to, co najważniejsze. Ewidentnie [widoczne były słowa]: Solidarność, 4 czerwca, „Żeby Polska była Polską” Powiedziałbym wręcz, że to wskazywało nawet miejsce, na które [powinno się] zagłosować.

## **28. Korzystaliśmy raczej z filmów o wyższej czułości**

À propos naszej fotografii, my [używaliśmy] filmy, [do] jakich mieliśmy dostęp. [Korzystaliśmy] z tych o niższej czułości, typu sześćdziesiąt cztery albo sto ASA. Wtedy była bardzo popularna i dostępna tak zwana haelka. HL –taka [nazwa] filmu. Haelka miała nominalną wartość czułości czterysta ASA. [Czyli, mówiąc] fotograficznym [językiem, był] to czuły film [wykorzystywany] bardziej [w czasie] zmroku. Ale ponieważ fotografowaliśmy w różnych warunkach, to ciągnęliśmy czasami ([jak] to się mówiło w [fotograficznym] slangu) ten film nawet do trzy dwieście. Podciągaliśmy jego czułość przez to, że wywoływaliśmy go w cieplejszym wywoływaczu. Dlatego niektóre ze zdjęć mogą być (znowu [użyję] slangu) przewalane. To znaczy, że trochę je prześwietlaliśmy, [ponieważ] ciężko nam było dobrać parametry. Z tego wynika [fakt, iż] niektóre filmy mają duże ziarno, czyli nie są bardzo precyzyjne.

Wiem, że też miałem taki film. Tym [o czułości] sześćdziesiąt cztery [ASA fotografowałem] chyba w Krakowie. Tam są [bodajże] zdjęcia z 1989 roku z manifestacji [solidarnościowej z uczestnikami rewolucji] na placu Tian’nmien. [Są one zrobione w] bardzo dużym kontraście.

[Filmy] o niskiej czułości były straszliwie kontrastowe. Natomiast w tych o wysokiej czułości rozkład tonalny był dosyć duży, przez co ziarno [również wychodziło] dosyć duże. I jakbyśmy chcieli bardzo powiększyć takie zdjęcia, to szczególnie, na przykład napisy, [okazałyby się] trudne do odczytania.

W każdym razie robiliśmy zdjęcia tym, [do czego mieliśmy] dostęp. Jak teraz patrzę na swój sprzęt (bo zostawiłem sobie [aparat] Canon i obiektywy z tamtych czasów), to [zauważam], że tak naprawdę [on] był dosyć słaby. A wtedy dla nas [tylko] to było dostępne. I [tylko tym] mogliśmy [fotografować].



## 29. W studium wojskowym salutowaliśmy i odstawialiśmy wojsko

Naprzeciwko studium wojskowego Akademii Rolniczej [znajdowała się] knajpa, która się nazywała [Karczma] Słupska. Mam niezwykle wspomnienia [związane] z tym miejscem. [Jak się] jechało w kierunku Nałęczowa, kawałeczek dalej, po lewej stronie, tam [stał] blok i za [nim funkcjonowała ta restauracja]. Słupska była przekomiczna, bo w centrum Lublina [Miała] góralski wystrój, góralskie meble.

A naprzeciwko mieliśmy studium wojskowe, gdzie we wtorki o ósmej godzinie przychodziliśmy, salutowaliśmy i „odstawialiśmy” wojsko. Wtedy na studiach były zajęcia [prawdopodobnie] z obrony cywilnej –nie wiem, jak się to nazywało. Najczęściej [na nich] przysypialiśmy. [Czasem robiono nam] jakieś klasówki czy odpytywania (co to jest chlebak albo podobne głupie [zagadnienia] lub kazano nam] rozbierać i składać karabin maszynowy, oglądać granat czy [stosować] jakieś taktyki wojenne. Weterynaria... Chłopacy, którzy przyjeżdżali mocno zmęczeni na ósmą godzinę rano.

[Zatem] jak miały być jakieś testy czy odpytywania, to można się było z tego zwolnić, idąc oddać krew. Przy placu Litewskim [mieścił się punkt] Akademii Medycznej, [w którym] oddawało się krew. Ze dwa razy [chodziłem i robiłem to] honorowo właśnie w związku z [zaplanowanym] jakimś sprawdzianem na tym studium wojskowym.

## 30. Strzała Południa –powrót tym pociągiem do domu to była wyprawa

Jednego razu wróciłem z Krakowa [do Lublina]. Byłem wykończony, [ale] nie imprezą. Po prostu z Krakowa jechało się ponad osiem godzin tanim pociągiem przez Przemyśl, Przeworsk... A pospieszny do Lublina przez Radom jechał pięć godzin. [Z kolei ten tani] to tak zwana Strzała Południa. I nim wyjazd do domu to była wyprawa.

Nie było mnie stać na jakieś super jazdy. Więc wsiadałem do tego pociągu i szukałem konduktora. Mówiłem, że jestem studentem. Odpalało się mu jakąś kwotę, [którą] on brał do kieszeni. To była [tylko] część ceny biletu. W ten sposób można było dojechać wszędzie. Jeszcze [konduktor] zamykał nam czasami wagon i my sobie tam siedzieliśmy, mogliśmy się położyć. To było normalne.

W Przeworsku było jeszcze jakieś przestawianie torów... W ogóle cuda-wianki. Wyjeżdżałem o godzinie dwudziestej i [dojeżdżałem do] Lublina chyba o szóstej czy siódmej. Takie były czasy. A [pociąg] pospieszny [wyjeżdżał] chyba o siedemnastej i pięć godzin później, o dziesiątej, [dojeżdżał do] Lublina. Tam na dworcu o [tej porze] łapało się ostatni trolejbus albo jakiś autobus, a już po dziesiątej to per pedes [pieszo –red.]. Nie szło się do autobusu, bo już go nie było, tylko wio. [Więc] szliśmy na nogach –jak się mówi tutaj na południu (lubię to wyrażenie). Zresztą jak chodziliśmy na [Ćwiertniówki], czy [jak] imprezka kończyła się o godzinie pierwszej czy drugiej, to kto dalej [mieszkał], ten dłużej [szedł]. Wtedy tak to wyglądało. Nie było nocnej komunikacji. Na taksówkę to w ogóle, najnormalniej w świecie nie było nas stać. Ja nie wiem, czy [choć] raz w życiu jechałem w Lublinie taksówką. Zresztą Lublin jest

taki, że [można go] przejść w tę i we w tę.

### **31. Lublin był bardzo mocno poklejony plakatami**

[Przy ulicy] Lipowej, [gdzie] teraz jest chyba McDonald, kiedyś [znajdował się] bar. W ogóle to było inne miejsce. Po lewej stronie w sklepie kupiłem swojego pierwszego walkmana w 1992 albo 1993 roku. Pojechałem już oddawać papiery, odbierać dyplom i wtedy [pomyślałem] sobie: a, dobra, na koniec kupię sobie walkmana. Potem się okazało, że przyszły płyty kompaktowe, [więc] te walkmany w ogóle... out. Kawaleczek dalej [od tego sklepu znajdowała się] tablica, na której przyklejaliśmy z Grześkiem Jakubowskim plakaty. Ale wiem na pewno, że ja nie przyklejałem niczego, co wiązało [się] z KPN-em. Byłem dosyć daleko od KPN-u –[Leszka] Moczulskiego i [tego] charakterystycznego orła. Natomiast [istniały] takie miejsca, gdzie przyklejano te plakaty. Więc tylko robiłem dokumentację, że takie coś jest.

[Były] próby wywieszenia plakatów [koło akademika] Akademii Rolniczej Eskulap. Tam jest takie przejście. Co prawda teraz, jak sobie o tym pomyślę, to wieszanie plakatu w takich oficjalnych miejscach [było] głupie. Ale okej. [Toczono] wtedy walkę na noże i to tak mocno szło.

W każdym razie [te plakaty] były porozklejane. Lublin –zresztą Kraków też –był bardzo mocno poklejony [plakatami]. Powiedziałbym wręcz, że [istniała] konkurencja, kto więcej [ich] naklei. [I to] w zupełnie szalonych miejscach. Gdzieś przy poczcie, na placu... Ale [to] zadziało. Potem [w wyborach czerwcowych 1989 roku –red.] te trzydzieści procent zostało przekroczone.

### **32. Walczyłem o okręg 49**

Walczyłem o okręg czterdzieści dziewięć, Kraków, Nowa Huta. Do senatu [kandydowali] pan Roman Ciesielski, Mieczysław Gil, Edward Nowak i Krzysztof Kozłowski, późniejszy szef służb specjalnych. [Krzysztof Kozłowski] został potem ministrem spraw wewnętrznych. On już nie żyje. Wywodził się z Klubu Inteligencji Katolickiej. Bardzo sympatyczny [człowiek]. [Mieczysław Gil i Edward Nowak to byli] słynni goście. Chyba Nowak był człowiekiem, który w Nowej Hucie [zakładał] Solidarność. Nie wiem, czy to nie jego milicja poszukiwała przez dłuższy czas w tamtych latach.

[Z pewnym] panem [taksówkarzem] jeździliśmy starym mercedesem aż pod Nowy Korczyn. Pod spodem, pod tablicą reklamową zainstalowaną na dachu [znajdowała się] tuba, [przez którą się krzycało]: „Solidarność królem Polski!” Oczywiście, żartuję. Wtedy naprawdę zajechaliśmy kawał świata. Nie wiem, po co my tam [jeździliśmy], ale chyba aż tam sięgały obwody wyborcze.

Ale ja, jeżdżąc z tym człowiekiem, chyba nic nie rozklejałem, tylko wrzeszczałem do tej tuby: „Głosuj na Solidarność” Natomiast rozklejania [odbywały się] raczej gdzieś w okolicy. Tak mi się wydaje. [Na zdjęciach jest widoczne], jak [te plakaty były] potajemnie przyklejane. [Ponadto] niektóre [fotografie] robiono tak, żeby nie było

widać twarzy. [Istniało pewne] ryzyko. Pierun wiedział, jak to się rozwinie i co będzie dalej.

Więc tak jeździliśmy w tym mercedesie, który wyglądał naprawdę fantastycznie. Teraz, jakbym miał takiego mercedesa, byłbym zadowolony.

Moim pierwszym [autem była] rozwalająca się zastawa mediteran. [Kupiłem ją] chyba w 1993 roku. [Kiedy] jechałem do Lublina po dyplom, to coś zaczęło mi się sypać. Zastanawiałem się, co [to] takiego [upada] na ulicę. Okazało się, że poleciały mi śruby od silnika. Takie były [wtedy] samochody. Ojciec musiał mnie ściągać. Dojechałem [wówczas] właśnie w okolice Nowego Korczyna czy jeszcze gdzieś dalej.

Jeździłem [też] na Radawiec oglądać żółwie. Koło [tej miejscowości znajdowały się] podmokłe tereny. Tam [podczas] spacerów wypatrzyłem żółwia błotnego, naszego europejskiego. To było niesamowite. Raz w życiu [go] tylko widziałem.

### 33. Mirosław Hermaszewski i Izabella Sierakowska w Lublinie

[Strona rządząca] była wtedy pewna siebie. Tak nam się przynajmniej wydawało. Oni przystali [wówczas] na spotkanie w FSC [Fabryka Samochodów Ciężarowych –red.] [Izabellę] Sierakowską [oraz Mirosława] Hermaszewskiego. [Powstały] plakaciki [z hasłami]: „Chcesz dla kraju czegoś dobrego? Wybierz Hermaszewskiego”[oraz] „Hermaszewski królem Polski”[to oczywiście uwspółcześniony żarcik] i tak dalej. Wydawało się, [iż jak się zjawia] takie postacie, to już na pewno będzie super. Okazało się, że nie, bo ludzie mają tego po prostu po dziurki w nosie.

To był wiec wyborczy. Chyba [Leopold] Seidler też wtedy [przyszedł.] Hermaszewski i Sierakowska mieli się jakoś zaprezentować. Ona [tylko] takim płaczliwym głosem opowiadała o swojej karierze i [o tym], co ona tu dobrego zrobi dla dzieci, i w ogóle, jaka to ona jest wspaniała. Okropne.

Data i miejsce nagrania	2019-03-29, Kraków
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Maria Buczkowska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"